

Teatr musi dotknąć

Bogdan Sobieszek: Jest pan orędownikiem idei, że teatr offowy powinien być teatrem zaangażowanym. Dawniej się nie angażował? Czy dzisiejsze czasy nie sprzyjają zaangażowaniu?

Tomasz Rodowicz: Kiedyś każdy teatr był zaangażowany, choć różnie go nazywano – offowy, alternatywny, niezależny, studencki. U młodych twórców teatralnych zaangażowanie wiązało się z niezgodą na rzeczywistość, w której żyli. Nie chodziło o prosty manifest polityczny, ale o określenie siebie w tych oparach absurdu, jakim był PRL. Dzisiaj jest zupełnie inaczej. Teatr offowy poszedł różnymi drogami. W pierwszej dekadzie wolności nie było czemu się przeciwstawiać. Wszyscy byliśmy zachłystni tym, że możemy oddychać i mówić, co chcemy. W takiej sytuacji owoc zakazany przestaje być atrakcją.

Niełatwo odnaleźć się w nowej rzeczywistości.

Dzisiaj wszyscy w jakiś sposób się pogubiliśmy kulturowo, cywilizacyjnie i światopoglądowo. Zmiany nabrały gwałtownego przyspieszenia w wielu dziedzinach, na wielu poziomach jednocześnie. Już tego nie ogarniamy. Jeśli sobie pomyślimy o poprzednich pokoleniach – naszych rodzicach albo dziadkach – wtedy było wiadomo, kto jest przyzwoitym człowiekiem. I nie chodziło o bohaterstwo, wielki patriotyzm. Myślał o innych, nie kradł, nie kłamał – znaczy, że przyzwoity, takie podstawowe rzeczy. Bardzo mnie ciekawi, jakie wartości w sztuce przyświecają twórcom. Na co reagują, co odreagowują? Mimo wolności w doborze środków, sztukę opanowują trendy. Chodzę do teatru i czuję, jakbym oglądał wciąż ten sam spektakl – ta sama ilość nagości, wulgaryzmów, brutalności i rozlewanej krwi. Ta sama migotliwość, postmodernistyczne rozczłonkowanie wątków, dramaturgii, sensów i samego człowieka.